



*Wojna*  
**PARADA**

ROK III

NIEDZIELA, 11 MARCA 1945 R.  
SUNDAY, MARCH 11, 1945

Nr 6 (50)

CENA EGZ.: w Egipcie P.T. 2, w Palestynie 25 mils., w Iraku 30 fils., w Iranie 3,5 rls., w Anglii 6 d., w Afryce Wsch. 6 d., we Włoszech 12 lirów



Król Ibn Saud na pokładzie amerykańskiego okrętu wojennego



J. K. M. Król Faruk w towarzystwie premiera Churchilla



Penie J. Boettlinger córka prezydenta Roosevelta i Sarah Oliver córka premiera Churchilla — pełniły na okręcie honory pań domu



Gwardziści Króla Ibn Sauda w pełnej gali  
↓ Król Ibn Saud ze swym sztabem



Prezydent Roosevelt na pokładzie amerykańskiego okrętu w porcie Aleksandrii. Siedzą od lewej ku prawej: J. Winant — ambasador U. S. przy rządzie W. Brytanii, prezydent Roosevelt, sekretarz stanu Stetinius i Harry Hopkins — doradca prezydenta



W połowie lutego b. r. Egipt stał się miejscem niezwykle erzotycznego zjazdu. Prezydent Roosevelt, który w ciągu kilku dni w Aleksandrii na krążowniku oraz premier amerykańskim byli wspólną konferencją. Spotkanie to było wstępem do rozmów z władcami krajów arabskich, w których w dalszym ciągu wzięli udział król Egiptu Faruk I, cesarz Etiopii Heile Selassie, władca Arabii Saudyjskiej król Ibn Saud i prezydent Syrii Shukry el-Kuwatli Bey.

Zjazd obfitował w szereg oryginalnych szczegółów. Władca Arabii Saudyjskiej liczący 65 lat, przybывая obecnie do Egiptu, po raz pierwszy w życiu opuścił granice swego państwa. Podróż ze swej stolicy Ryadh w Arabii Środkowej do oddalonej o 800 mil Jeddah, nad Morzem Czerwonym odbył monarcha wraz ze swą swiatą samochodami. W Jeddah wsiadł na oczekujący go kontrtorpedowiec amerykański, którym popłynął do jednego z portów w strefie Kanału Sueskiego. Podróż morską odbył król saudyjski dostojnie „na pokładzie okrętu”, gdyż jako prawowity syn pustyni nie zgodził się na przebywanie w kajucie, lecz kazał sobie rozbić na pokładzie namiot. Swiata królewska składała się z 48 osób. Osobny poczet stanowiła gwardia przyboczna i liczna służba. Wybierając się w tak daleką drogę, król kazał swym ludziom zaopatrzyć się w żywność. Zabrano więc z sobą trzodek żywych baranów.

Z prezydentem Stanów Zjednoczonych król saudyjski konferował na krążowniku amerykańskim, stojącym na Jeziorze Gorzkim. Jedynymi paniami, jakie brały udział w przyjęciach, były: córka prezydenta Roosevelta i córka prem. Churchilla.

Z premierem Churchillem władca Arabii spotkał się w Fayum, w miejscowości oddległej od Kairu o 45 mil. Na pamiątkę monarcha arabski ofiarował premierowi Anglii wysadzaną cennymi kamieniami szablę i złoty sztylet oraz haftowaną złotem szatę arabskiego szejka ze złoto-karmazynowym przybraniem głowy. Premier Churchill odwzajemnił się dwiema kasetkami, zawierającymi tuzin flakonów perfum.

Cesarz Heile Selassie, który przyleciał z Addis Abeby samolotem, rozmawiał z premierem Churchillem w jego kwatery. W konferencji wzięli również udział: minister Eden i książę Etiopii Ras Kassa, wstawiony w wojnie przeciw Włochom.

DWUTYGODNIK ILUSTROWANY  
ARMII POLSKIEJ NA WSCHODZIE  
ROK III

PARADA

FORTNIGHTLY REVIEW OF  
THE POLISH ARMY IN THE EAST

NIEDZIELA, 11 MARCA 1945

№ 6 (50)

# Gen. Dyw. Wł. Anders Naczelnym Wodzem

Pan Prezydent R. P. w dniu 26 lutego 1945 roku zamianował Generała Dywizji Władysława Andersa pełniącym obowiązki Naczelnego Wodza.

Żołnierze 2 Korpusu z najwyższą radością przyjęli wiadomość, że w obecnej chwili na czele Polskich Sił Zbrojnych stanął wypróbowany żołnierz — twórca Wojska Polskiego w Rosji i Dowódca Korpusu, który taką chwałą okrył polskie sztandary wojskowe.

Szczególnie w tym ciężkim okresie, jaki przeżywamy, żołnierz bo-

leśnie odczuwał brak Naczelnego Wodza rozumiejąc, że tylko jego osoba zapewnić może jednolite kierownictwo Siłami Zbrojnymi. W przetomowych chwilach naszych dziejów naród polski jednoczył się zawsze pod rozkazami Naczelnego Wodza. Instytucja ta jest rdzeniem polska i związana z najwspanialszymi kartami naszej historii. Decyzja Pana Prezydenta przywróciła pod względem faktycznym stanowisko Naczelnego Wodza. Stało się zadość nie tylko literze, ale i duchowi Konstytucji, na którą złożyliśmy przysięgę żołnierską.

## Rozkaz Dzienny Naczelnego Wodza

Pełniący obowiązki Naczelnego Wodza gen. dyw. Władysław Anders wydał w dniu 26 lutego br. następujący rozkaz dzienny do Polskich Sił Zbrojnych:

ZOŁNIERZE, MARYNARZE, LOTNICY!

Z rozkazu Pana Prezydenta Rzeczypospolitej obejmuję obowiązki Naczelnego Wodza Polskich Sił Zbrojnych w tak ciężkiej dla Polski chwili. Polskie Siły Zbrojne pozostają w dalszym ciągu wyrazem suwerenności Rzeczypospolitej.

Obejmując dowództwo nad Wami, stwierdzam, że Polskie Siły Zbrojne w obecnych zmaganiach dziejowych dobrze się zastężyły sprawie Polski i jej Aliantów. Aby siła nie rządziła nad prawem, pierwsi chwyciliśmy za broń 1 września 1939 r. Samotni przeciwstawiliśmy się wówczas całej potęgze niemieckiej. Walczyliśmy w Lotaryngii i Alzacji, pod Narwikiem, w Tobruku, pod Monte Cassino, w Anconie, na linii Gotów, w Apeninach, pod Falaise i Arnheim. Walczyliśmy cały czas na morzach i w powietrzu. Lotnikom polskim przypadł zaszczyt dopomóc Anglii w historycznej bitwie o Wielką Brytanię.

Armia Krajowa przez z górą pięć lat stawiała opór niemieckiemu najeźdźcy zyskując nawet podziw u naszych wrogów. Powstanie w Warszawie — najwspanialsza bitwa tej wojny — wypisane jest krwawymi zglóskami w sumieniu świata. Dziękuję Tobie, Żołnierzu Polski, wykonałszy wobec Aliantów wszystkie nasze zobowiązania. Stwierdzam, że spełniłście Wasz obowiązek wobec Ojczyzny.

Ze sztandarami okrytymi chwałą stajemy dziś w obliczu największej tragedii naszego Narodu. Oczy wszystkich Polaków rozrzuconych po świecie, a przede wszystkim umęczonego Kraju, patrzy na nas z uczuciem nadziei. Wiedzą oni, że nasz ciężki marsz żołnierski kontynuować będziemy zgodnie z naszą przysięgą i z rozkazami Pana Prezydenta, prawowitego przedstawiciela Majestatu Rzeczypospolitej Polskiej oraz postanowieniami legalnego Rządu.

Pamiętać musimy, że w wyniku tej wojny zatrumfować ma uczciwość i sprawiedliwość. Uczciwy i sprawiedliwy świat nie może być bez Polski wielkiej, silnej i niepodległej. Zgodnie z honorem do Polski takiej wrócimy, jako żołnierze z bronią w rękę.

A jeżeli obcy ludzie bojaźliwi pytają Was będą o co walczyliście — odpowiadajcie, że żołnierz polski bije się dziś o to samo, za co poszedł w bój 5 lat temu: „aby w naszym Kraju i w świecie nigdy siła nie mogła rządzić nad prawem”.



# nad SENIO

chodzą  
białe duchy



Patrol polski mija szybko odcinek obserwowany przez nieprzyjaciela



Schron na wysuniętej pozycji

↓ Przed odmarszem patrolu



W Apeninach trwa zima na dobre. Kiedy pędzi się jeepem po gładkiej jak stół, błyszczącej polewą asfaltu szosie nr 9, góry rosnące w zadymionym dale horyzoncie objawiają się nagle jakimś malarskim, urzekającym urokiem białej, cichej, zamysłonej zimy. Śniegi fosforują z daleka mocnym odbłaskiem słońca. Niebo przechyla się nad górami i w miejscu, gdzie dotyka szczytów, jasniejsze pasmem chłodnego, ostrego lazuru.

Bez wiednie nasuwają się myśli o pochylonych słońcnych zboczach, zacienionych błękitnie dolinach, jakich szalonych zjazdach w rozmiętą, rozszerebrzoną przestrzeń, o długim, wysokim, kamertonowym tonie rozcinanego pędem powietrza i zuchwałej, zawadiackiej chryśnianii w białej fontannie miękkiego, puszystego śniegu...

Ale kiedy z pierwszej karuzeli śliskich serpentyn zjeżdża się jeepem, topoczącym na wietrze brezentowym dachem, uderza nagle w góry mocny, roznoszony echem huk dział i z miejsca rozprasza, odrzuca poprzednie refleksje i obrazy. Góry, kiedy już weszło się w ich obręb, nie stwarzają złudzeń. Nie witają panoramą białej, cichej zimy, w którą można prysnąć dłońmi, słonecznym zjazdem, zachłystnąć się jej mroźnym powietrzem i rozciąć ją dwiema cięciami narciarskich śladów.

Tutaj góry są białym amfiteatrem, na którym gra się wojnę. Tutaj, na tych szczytach stanął front. Tu bez przerwy przelewa się huk dział, nocie wysrebrzają reflektory, tu umierają ludzie.

Tu, nad rzeką Senio, która rozgranicza „ziemię niczyją”, zapadły w śnieg bataliony Kresowej. Żołnierze w białych, ochronnych kombinezach wyglądają w nocy jak duchy. Jak białe duchy przechodzą nocami „ziemię niczyją” patrole „Zubrów”. W dzień jest twarda rzeczywistość ciężkiego górskiego odcinka, nekający ogień nieprzyjacielskiej artylerii, przejmujące zimno, mrozy, lub śnieżne zamiecie. Jest przeważnie tylko raz dziennie, pod wieczór ciepła strawa, dowieziona na linię drogami, po których w ciągu dnia chodzi śmierć i huk nekających pocisków niemieckiej artylerii.

A prasa i komunikaty radiowe mówią od tygodnia to samo: „We Włoszech spokój”. Czasami wspomni się o patrolach. Ale we wszystkich tych oficjalnych komunikatach wojnę oddano na tym terenie bezapelacyjnie w ręce artylerii: „Na froncie ożywiony ogień artylerii!... „Obustronna wymiana ognia artyleryjskiego”... „Artyactivity”...

Zasadniczy ciężar wojny spadł teraz na artylerię. Robi ona w tych górach wojnę najgłośniejszą i nieprzerwaną, wojnę nekającą, wojnę nerwów. Nawaly ognie trafią się niezmiernie rzadko. Jest natomiast ciągły, uparty, systematyczny, precyzyjny ogień nekający, przerywany na niemieckie pozycje obronne po tamtej stronie Senio.

Działania artylerii ciężkiej, połówki Kresowej, a jeszcze bliżej moździerze nie dają Niemcom ani chwili spokoju, wysyłając poza Senio setki gwizdających posyłańców bez względu na porę dnia, czy nocy, bez względu na panującą w danej chwili pogodę. Kiedy patrol białych duchów wyszpera jakieś zgrupowanie broni nieprzyjaciela, jakieś natarczywe, zbyt agresywne moździerz, jakieś szczekające gresywnie moździerz, jakieś Spandau'y — wtedy za głośno i za blisko Spandau'y — wtedy krótką nawałą. Góry wibrują hukami, za rzeką ziemię wstrząsa seria głuchoy wybuchów. To pomaga zawsze. Potem na długo jest już spokój... Kiedy siedzi się przy płonącym „casaminku” siedzi się przy płonącym „casaminku” w nawpół zburzonej „casaminku”

contadini” tuż przed „ziemią niczyją” i kiedy słucha się opowiadania jednego z żołnierzy, który stosunkowo niedawno — temu „dał nura” — jak sam to określa — z tamtej strony frontu na naszą, opowiada o Warszawie i ludziach Polski Podziemnej — zapomina się na chwilę zupełnie o tym, że tu, przez te wzgórza biegnie linia, którą na mapach zakreślono jakimś tam kolorem i na której napisano krótko — front. I tylko chwilami, gdy ucieknie głos opowiadającego, a w półmroku rozarzy się papieros, można słyszeć wyraźnie huk dział i przegwizdujące gdzieś górą pociski.

A gdy wyjdzie się przed dom, góry wyrastają nagle z nocy jakimś surowym, patetycznym pięknem. Noc jest jasna od śniegu i reflektorów, które zapalają białe śczyły seledynowym, księżycowym blaskiem. Śnieg trzeszczy pod krokami. W dół, po zboczu schodzi rząd białych duchów. Idą na patrol — za Senio.

W budynku dzwoni telefon. Ktoś mówi parę krótkich, urywanych zdań. Po kilku minutach odzywa się nasza artyleria. Bije mocno, często, głośno. Sygnalizuje odchodzącemu patrolowi, że rozciągnęła nad tym odcinkiem swoją ogniową przewagę i rozbudza osnieżone góry długim, przetaczającym się gdzieś daleko, gdzieś poza „ziemię niczyją”, poza Senio i niemieckie pozycje grzmotami wojennej burzy.

JANUSZ WEDOW



Poprawka celownika przed strzałem

↑ Karabin maszynowy na pozycji

↓ Saperzy oczyszczają drogę dojazdową do pierwszych linii



## ŻANDARM DYKTATOR DROG

Korespondencja

własna

„PARADY”

Jeszcze na tyłach i to bardzo głębokich tyłach, które wojnę przeżywały w szpalach gazet, które widzą w niej jedynie trapiący temat i tło dla dyskusji politycznych, ale które nie mówią nigdy inaczej, jak — „zdobylismy Cassino”, lub „wziliśmy Ancone”, czy też — „przepeździliśmy Niemców z Apeninów”. — Na takich tyłach pogląd na żandarmerię pozostaje niezmienny. Według niego żandarmeria jest zespołem ludzi dobranych, pod specjalnym kątem widzenia, — ludzi, których zasadniczym zadaniem jest robienie innym ludziom na złość, a jedyną konkretną pracą jest „czepianie” się przepustek, umundurowania, szybkiej jazdy, rzadkich momentów dobrego humoru, a już największą przyjemnością — zamykanie do paki...

Gdyby jednak ktoś z tych tyłów mógł widzieć białą czapkę żandarma, który w ciemne noce prowadził setki maszyn po wąziutkich, ostrzeliwanych drogach kaspińskiego piekła, który regulował ruchem ogniem nieprzyjacielskiej artylerii, ciągnąc lisy, karierów, czołgów, ciężarów, motocykli, (kiedy wszystko musiało być dostarczone na czas, na oznaczoną godzinę, na wyznaczone miejsce, a przerwy w ruchu równały się katastrofie) zmieniłby zdanie i nabrał do żandarmerii dużo respektu i podziwu.

Polscy żandarmi dyktatorzy wojennych dróg





Na punkcie przejściowym

Ogdyby mógł jeszcze widzieć tego żandarma, jak tkwił w ulewnych deszczach, błocie, zimnie, śniegu i mgłach na dziedzińcach mostów Bailey, skrzyżowaniach dróg, punktach przejścia, kierując jednokierunkowym przelotem przez mosty, objazdy, brody, karkołomne serpentyny i wąskie zakręty, może zrozumiałby wtedy, jak twarzą i wyczerpującą służbą jest regulacja ruchu do i od — frontowego, wykonywana właśnie przez szwadron żandarmerii.

Zadanie to nabrało specjalnego znaczenia zwłaszcza na obecnym odcinku Korpusu w Apeninach.

Nieliczne — wąskie, wysokogórskie drogi miejscami nie nadawały się zupełnie do ruchu dwukierunkowego. Objazdów nie było. Ale trzeba było przecież przepuścić te długie pociągi samochodowych kolumn, idące do frontu i wracające w kierunku przeciwnym. Jedna kolumna musiała spłynąć z gór, z płataniny ostrych serpentyn, by druga, czekająca na dole, mogła ruszyć naprzód. Poszczególne posterunki regulacji ruchu, powiązane ze sobą wzduż trasy telefonicznym kablem, czuwały nad sprawnością tego ruchu.



Na moście Bailey

Ciegle w nas żyje Trylogia, odzywając się cichym w chwilach niespodziewanych, w sprawach najmniej z nią związanych. Do „Ogniem i Mieczem” i „Potopu” sięgnąłem też wspomnieniem, całkiem odruchowo, kiedy wypadło mi spotkać się z peniciliną. Związek myślowy jest bardzo prosty: chleb i pleśń...

Na wszystkie rozwalone łby i rany przykładano dawniej chleb wilgotny (pleśń...) z pajęczyną. Rządźtan tak leczył Bohuna, dzięki tej dziwnej — tak później wysmiewanej kombinacji — wyliźnął się Kmicic, poznaczony szabłą Wołodyjowskię, tym też opatrzył Kmicica stary Kiemlicz, zagniatając zwilżonego chleba z zebraną z kątów chaty pajęczyną. Desbra, bardzo dobra była ta pierwotna „penicilina” — zasługuje na szacunek nawet i teraz, kiedy prezentują mi jej cudeńską — pra-prawnużkę, która w ciągu minionego roku zrobiła wspaniałą karierę. Spotkanie nasze nie odbywa się na łóżku szpitalnym, nie ona do mnie z działaniem, lecz ja do niej przychodzę z wywiadem. Ze strony — naprawdę kuchennej...

Można nazwać kuchnią to laboratorium x-tego Polskiego Szpitala Wojennego, który dzisiaj jest jedynym ośrodkiem wojskowym, produkującym penicilinę, —

## POLSKI SZPITAL WOJENNY produkuje PENICILINĘ



regulowały jego napięcie, czas przejazdu, postoje oraz usuwały nieumknięte w takich warunkach „korki”.

Na zajętych w niedawnej walce terenach, na drogach, które przed chwilą zostały dopiero rozminowane i oczyszczone przez saperów, wyrastała momentalnie postać polskiego żandarma. Kierowcy mieli stuprocentową pewność, że skieruje ich na właściwą, najkrótszą drogę, określili miejsce postoju oddziału, dla którego wiozą zaopatrzenie, ostrzeże przed niebezpiecznymi odcinkami dalszej drogi, zatrzyma na czas, jeśli przez drogę przewała się nawała niemieckiej artylerii.

Wzdłuż wszystkich dróg przyfrontowych przelatają w dzień i w nocy na motocyklach patrol drogowy żandarmerii. Czuwają nad bezpieczeństwem szlaków komunikacyjnych i transportowych. Przewodzą wojnę ruchową. Dyscyplina ruchu jest jednym z podstawowych elementów tej walki. Nad nią właśnie czuwają żandarmi.

I tutaj rozumie się, ocenia i zna wartość ich odpowiedzialnej, niewdzięcznej, prawie niezauważalnej pracy. Każdy ruch ręki w białym rękawie, każda wskazówka, instrukcja czy rozkaz, są wykonywane ściśle i niezwłocznie. Nikt się nie obraża, nikt nie ma pretensji, jeśli żandarm zwróci mu uwagę. Teoria o „czepianiu się” jest tutaj niepopularna. Może i dlatego, że przepustek tu się nie wydaje, a umundurowanie ujednoliciła akcja na froncie...

Ale nie znaczy to — panowie z dalekich, błędnych już we wspomnieniach, tyłów — że żandarmeria jest tutaj zajęta i zaabsorbowana jedynie regulacją ruchu... Są wypadki, wprawdzie nie częste, że potrafią też i zamknąć.

I jeszcze jak!

J. W.

penicilina surowa, produkowana przez nas, „Fabryka” nasza wprawdzie nie jest wielka, ale własna i wystarczająca na duży szpital. Penicilinę czystą, ów le potrzebny szpitala, na który zwrócił pan u proszek żółty, na który zwrócił pan u proszek żółty, obok butelek z żółtawą, galaretowatą masą — pokrytą pleśnią, z tą peniciliną surową, obok próbek z cudownym proszkiem są jeszcze buteleczki, wypełnione płynem o barwie ciemniejszego miodu. Jedną, najmniejszą buteleczkę „miodu” zabiera właśnie przybyła z Measli pod Kairem lekarka. Odpowiedź na moje pytanie odsłania jeszcze bardziej tajemnice zwiedzanej kuchni bakteriologicznej.

Są to kropelki owego „potu” — wyjaśnia inżynier-chemik — których używa się do wypadków, wymagających najwyższego stężenia. Warstwę dolną powłoki, po zlaniiu, przetraca się na okładki jako tak zwaną peniciliną okładkową. Z 40 litrów surowej peniciliny, a tyle właśnie wynosi nasza produkcja, otrzymać można jeden galon krystalicznej.

Domagam się jeszcze historii tej polskiej produkcji peniciliny. Kiedy, gdzie i jak...

W początku roku 1944 w x-tym Polskim Szpitalu Wojennym, w Palestynie, rozpoczęte zostały prace doświadczalne z dwoma szczepami (pleśń — penicilium notatum), sprowadzonymi od Florey'a. Przerwane wyjazdem szpitala doświadczenia podjął inny szpital polski w Egipcie, doprowadzając w maju 1944 roku do uzyskania pierwszej porcji własnej peniciliny. Złe początkowo warunki zmieniały się powoli na lepsze, chłodzone, czy ogrzewane laboratorium o wahającej się temperaturze, zastąpił termostat, w którym daleko lepiej dojrzewać mogła surowa penicilina. Zwiększając jej produkcję szpital opracował też własne metody oczyszczania i zależania peniciliny, oparte na krioskopii oraz dializie.

Wyniki, osiągnięte w leczeniu dzięki zastrzykom peniciliny, są powszechnie znane — wspaniałe. Środek ten jest nie bakteriobójczy, a bakteriostatyczny; nie zabijając bakterij, nie pozwala im rozwinąć się, nie niszczy też tkanki. Penicilina we wszystkich swych postaciach jest całkowicie obojętna, nieszkodliwa dla organizmu ludzkiego. Penicilina surowa, produkowana przez polski szpital, daje także doskonałe wyniki, a praktyka codzienna bardziej rozszerza jej zastosowanie. Wypadki ropne, zgorzeli gazowej, weneryczne, ginekologiczne, choroby uszu i gardła, oczu...

Mnożą się wypadki szybkiego wyleczenia peniciliną surową — tymi kroplami koloru miodu, czy okładkami — i „fabryka” szpitalna zyskuje coraz mocniejszy grunt w opinii nie tylko chorych. Z mej godzinnej wizyty — także dwa przykłady.

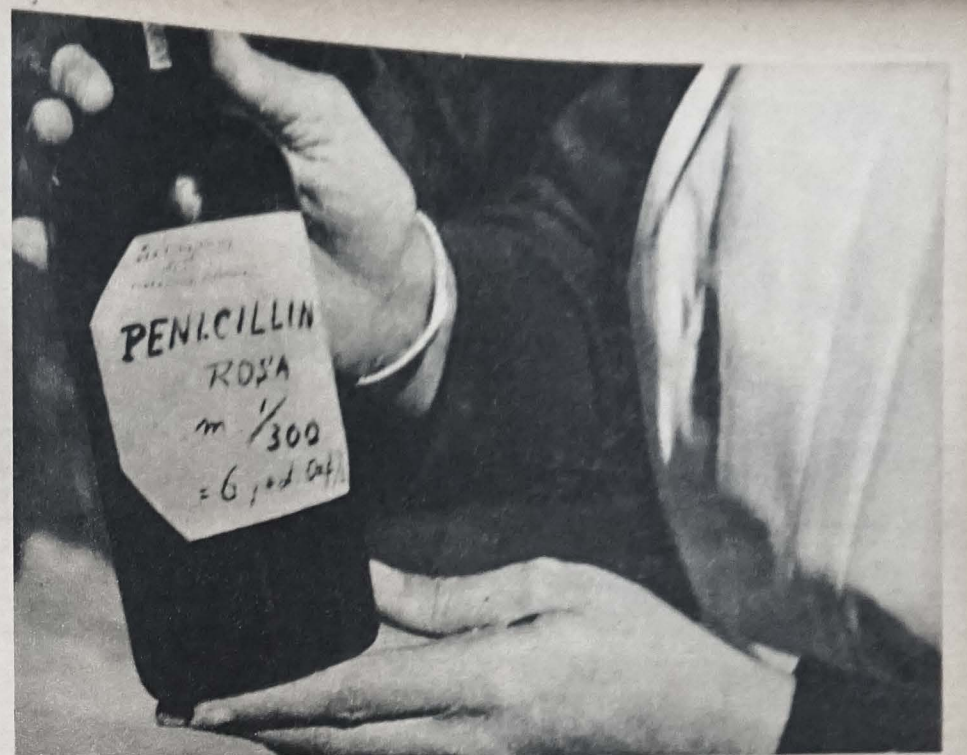
Meadi bierze krople penicilinowe dla ciężkich wypadków anginy. Kilkakrotnie popędzłowanie i z anginy nie ma śladu. Wchodzi żołnierz — wkraplają mu krople za powieki. To już resztki mijającej infekcji organizmu; żołnierz zamiewidział. Odzyskał wzrok po wkraplaniu mu do oczu peniciliny przez trzy dni...

Szpital jest wielki — laboratorium małe, a ludzi w nim pracujących nad peniciliną także nie wielu. Tylko dwóch: lekarz oraz inżynier-chemik. Ich wiedza, pomyślność, energia i zapobiegliwość, polski szpital wojenny, na piaskach Egiptu rzucony, bierze udział w tej olbrzymiej przemianie, jaką odkrycie peniciliny wywołało w leczeniu. I jaką jeszcze wywoła!

Wydobycie peniciliny drogą syntezy czeka na właściwe rozwiązanie. Zapewne i pajęczyna, z Zagłobowej medycyny, doczeka się jeszcze uznania. Wiadomo, że ma pewne właściwości tamowania upływu krwi...

Na razie penicilina bije wszelkie rekordy, ugruntowane faktami. Mówią mi o tym nad wszystko wymowniej — jasne, zdrowe oczy żołnierza, który znowu widzi...

TADEUSZ PNIEWSKI



Gotowy preparat



„Bolet” polskich szpitali



Werandowanie



# III RZESZA w przededniu klęski

Dwa główne fronty Niemiec

„Herrenvolk” na drodze ku klęsce

„Czołg-torpedowlec” armii amerykańskiej z połączonymi działami ppanc



Niemiecki czołg zniszczony pociskiem artyleryjskim



Francuskie oddziały na odcinku frontu Colmer



Zapory przeciwczołgowe — na odcinku w okolicy Habscheid (Niemcy)

Spitfire'y na przyfrontowym lotnisku



Oryginalny zaprzęg jednej z kuchni wojsk brytyjskich



Oddziały brytyjskie atakują pozycje wroga na odcinku pod Echt



# NA POKŁADZIE LOTNISKOWCA

Lotniskowce odgrywają coraz większą rolę w operacjach morskich. Zwiększył się również znaczenie zasięgu ich działania. Biorą udział w akcjach inwazyjnych, nie- rzadko występują jako samodzielne jednostki bojowe — oddają wielkie usługi jako okręty zwiadowcze.

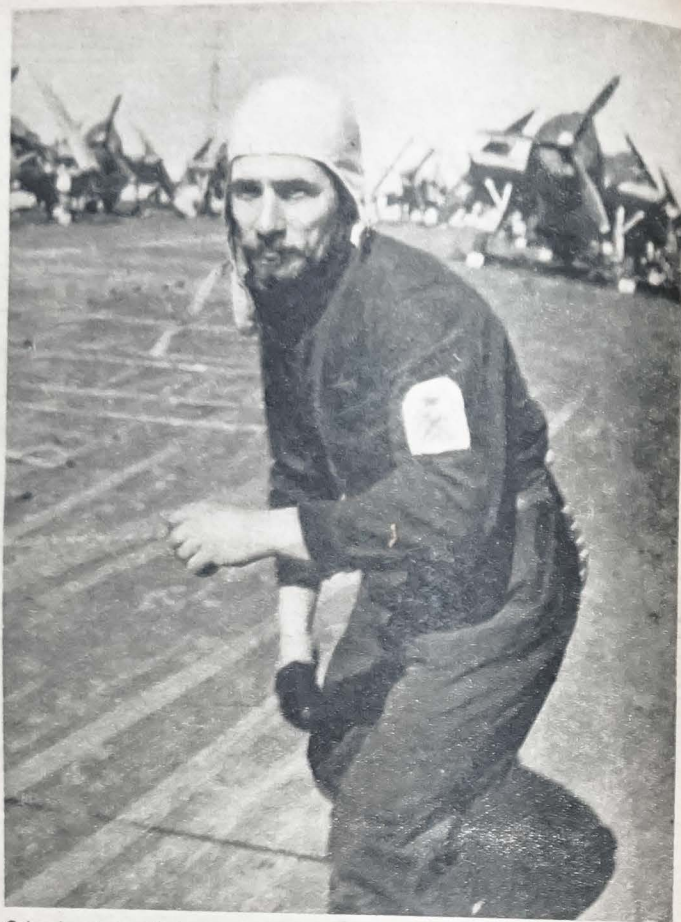
Wyspy Pacyfiku stanowią idealny, klasyczny teren dla działalności lotniskowców. W operacjach na Dalekim Wschodzie lotniskowce rozwinąć może najlepiej swoje bojowe wartości.

Nowoczesne brytyjskie lotniskowce rozwijają znaczną szybkość i posiadają daleki promień akcji. Jeden z nich przebył niedawno 12,000 mil morskich w 28 dniach. Uzbrojenie tych okrętów w stosunku do ich tonażu jest słabsze w porównaniu do innych jednostek wojennych. Lotniskowce jest również znacznie bardziej narażony w czasie akcji od innych okrętów, a jego płaski, olbrzymi pokład, będący lotniskiem, stanowi idealny wprost cel dla bomb nieprzyjacielskiego lotnictwa. Poważnym niebezpieczeństwem jest również obecność wielu ton paliwa potrzebnego dla samolotów.

Właściwą obroną lotniskowca są samoloty, dla których jest pływającym portem.

Lotniskowce wiozą myśliwce i bombowce. Są to specjalne typy maszyn dostosowane do operowania z pokładu okrętu. Każdy wie jak skomplikowanych aparatów, wyszkolonego personelu, licznych przyrządów i technicznych urządzeń potrzebuje każde ziemne lądowisko. Przemieszenie tego skomplikowanego zespołu na okręt, gdzie decydującym czynnikiem jest ograniczona przestrzeń — wymaga zastosowania wielu dodatkowych aparatów.

Samolot ląduje z pewną szybkością potrzebuje również pewnej minimalnej przestrzeni do startu. Okręt jest w ruchu — przy wzburzonym morzu kołysze się — wszystko to stwarza dodatkowe trudności, które obsługa lotniskowca musi pokonać. Na każdym lotniskowcu pracują dwie załogi. Marynarska i lotnicza. Załoga pokładowa przechodzi specjalne szkolenie. Szczęśliwe wylądowanie zależy w pierwszym rzędzie od wyszkolenia załogi pokładowej, która dosłownie „odbiera” samolot z powietrza. Jeżeli zważymy, że np. jeden z najlepszych myśliwców morskich „Corsair” (Korsarz) jest tak zbudowany, że pilot przechodząc do lądowania nie widzi bezpośrednio pokładu i wylacza maszynę na sygnał o-



Członek załogi pokładowej napina drut hamulcowy

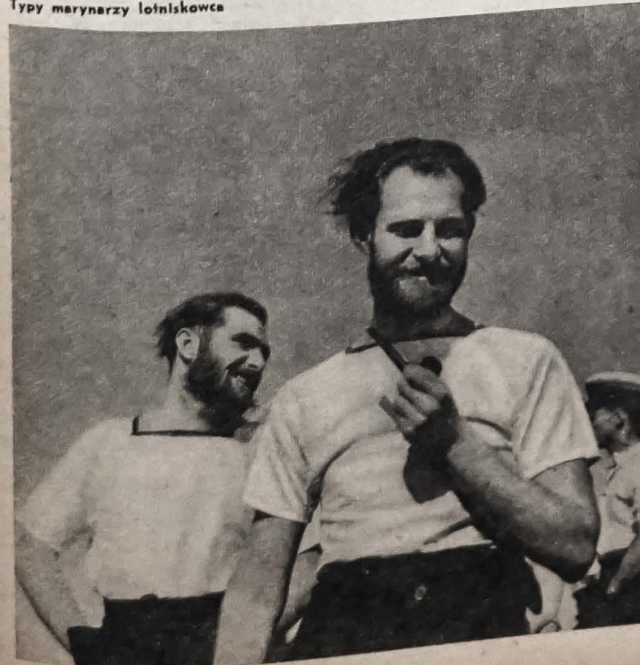


trzymany z okrętu — możemy w pełni pojąć odpowiedzialność ciążącą na obsłudze pokładowej. Zadanie jest proste: lądujący samolot musi zostać uchwycony na przestrzeni 30 stóp (ok. 10 metrów). W tym celu na pokładzie w chwili lądowania zostają rozciągnięte specjalne bariery druciane o pewnej elastyczności, na których samolot się zatrzymuje. Każdy lądujący samolot ma swoją obsługę pokładową, która z wyznaczonych miejsc przy pomocy drutów hamulcowych osadza go na miejscu, a następnie holuje do windy. Elektryczną windą samolot o-puszczony zostaje do podpokładowego hangaru. Aby obraz takiej operacji był pełny należy sobie uprzytomnić, że morski samolot myśliwski ląduje z szybkością nie mniejszą jak 180 km na godzinę. Lotniskowce płynię pod odpowiednim kątem do wiatru, a pilot naprowadzany jest do lądowania przez oficera pokładowego, który podaje mu wskazówki dotyczące kierunku i szybkości. Start i lądowanie (zwłaszcza to ostatnie) z lotniskowca wymaga ogromnej precyzji, a tym samym długiego szkolenia. Czas i przestrzeń tych operacji są tak ograniczone, że z reguły nie ma już możliwości na poprawienie najmniejszego błędu.

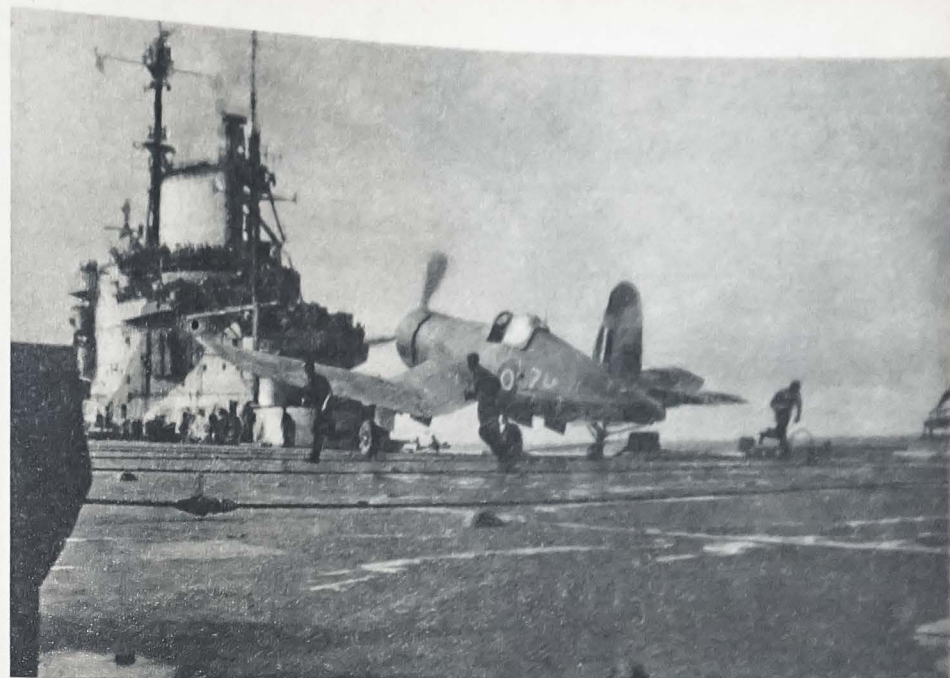
Załoga pokładowa jest rozmieszczona w specjalnych lukach tak, że w razie wypadku każdy uskok może w bezpieczne miejsce. Pilot do chwili oderwania się od pokładu, względnie od chwili gdy schodzi po wykonaniu zadania, do lądowania — jest całkowicie podporządkowany rozkazom oficera pokładowego. Wsiada do maszyny w hangarze umieszczonym pod pokładem — również po wylądowaniu wsiada z samolotu dopiero pod pokładem. Jeżeli pilot nalatuje do lądowania błędnie, względnie gdy oficer pokładowy wyda taki rozkaz — maszyna nie może lądować i pilot podrywa ją ponownie do lotu. Dopiero gdy nadleci najzupełniej prawidłowo, oficer pokładowy naprowadza ją na lądowisko.

Pilotaż morski jest jednym z najtrudniejszych i wymaga od lotnika specjalnych kwalifikacji. Znany lotniczy i morski korespondent wojenny Hinam Darbey opisując w jednym ze swych reportaży życie na brytyjskim lotniskowcu — twierdzi, że górną granicą wieku pilotów morskich jest lat 24. Kilkadziesiąt stóp lądowiska na macierzystym okręcie to wszystko, czym dysponuje pilot morski. Poza tym ma pod sobą, albo ocean, albo terytorium okupowane przez wroga. Pilot morski musi zatem kojarzyć w sobie wszystkie cechy dobrego pilota myśliwskiego z cechami marynarza dobrze ob- znajomionego z morzem.

Typy marynarzy lotniskowca



Bariery drutów hamulcowych regulowane są hydraulicznie



Myśliwiec „Korsarz” „składa” swoje skrzydła

Wylądował bombowiec — oficer pokładowy prowadzi go ku windzie



# PRZED PROMOCJĄ



W czasie wykładu

↓ Przerwa w czasie ćwiczeń



W niedzielę podchorążowie maszerują do kościoła



Burmistrz miasta Matera nosi się podobno z zamiarem wprowadzenia godziny policyjnej: od ósmej rano do czwartej po południu. Ludziom o słabych nerwach, dzieciom i starcom nie wolno będzie w tym czasie opuszczać mieszkań. Uzbrojone patrole karabinierów będą pilnowały ścisłego wykonania rozkazu; o porni płacić będą grzywnę, recydywiści pójdą poza rejon zagrożenia — do kagi. Prewencyjny ten środek ma na celu ochronę mieszkańców... przed harcami motocyklistów — uczniów Szkoły Podchorążych Służby Zaopatrywania i Transportu.

Tak twierdzą złośliwi. Rzeczywistość jest mniej straszna, niż ją neurastenicy malują. Uczniowie podchorążowie jeżdżą już stosunkowo dobrze i wypadków nie powodują. Odbywają nawet dłuższe rajdy i wszystko jest benissimo. Wprawdzie któryś wrócił pewnego ranka z jazdy na jednym kole, ale to nie ma znaczenia; inny na bagażniku przywiózł z drogi signorinę. Dobrze mu tak, niech wie, że motoryzacja — to rzecz poważna i niebezpieczna.

Matera — „wcale nie podłe miasto” — poważna i smętna, pełna zabytków i sama jak zabytek, przyjęła w swe stare mury czcigodną instytucję wojskową. W niej 2 Korpus urządził swoje wędrowne L'Ecole Militaire. Centrum Wyzskolenia. Wybór miejsca trafny: trudno w rejonie Bazy o bardziej leciwe i szanowne miasteczko. Matera, to przecież muzeum archeologiczne i zbiór średniowiecznych pamiątek. Trochę trudu, a można w niej znaleźć rzeczy, które ten trud stokroć opłaca. W pieczarach i grotach, których dużo wokół miasta, pełno jest śladów czasów zamierzających i wcale nowych śladów rzeczy niezabytkowych.

Nauka w Szkołach Podchorążych, rozsiągnięta po mieście, dobiega końca. Piechociarze już dawno po promocji, no, bo tym się strasznie śpieszyło. Przyszli białe sznurki, paradowali po ulicach i — pojechali do oddziałów. Zostawili złamane serduszka i tęskne wspomnienia. Trzy dni temu ukończyła łączność. Ci byli skromni i cisi, milczący jak aparat radiowy, gdy nieodzowne jest połączenie. Co innego artyleria: ci strzelają strasznie wysoko. Czy celnie, nie udało się ustalić. Artylerzyści znajdują się już także u wylotu, za kilka dni promocja i — „A rivederci!”. Jedynie szkolenie podchorążych w Zaop. i Transp. potrwa nieco dłużej. Normalnie, ktoś musi być ostatni, chociażby po to, aby uczestniczyć przy promocji wcześniejszego.

Elewi Zaop. i Transp. po dwóch okresach: unitarym i zaopatrywania, borykają się z trzecim — motorowym. Kandydat na podchorążego otrzymał solidny ładunek wiedzy wojskowej. Tłoczono weni ile wlażło, metodycznie i chaotycznie, byle dużo i pośpiesznie. Postępowano z nim jak z gesią wielkanocną: szpikowano, oskubano, nadziewano i przypieczono na różowo. W tym wylczeniu brak jednej czynności, nie ma jednak sensu mówić o wiwisekcji, gdyż chirurgia i pedagogia często idą w kupie. Słowem — przenicowanie. Kompletna przeróbka surowca, nadesłanego z oddziałów.

Odkryła się Ameryka, rozległa i barwna. Ci z piechoty dowiedzieli się, jak broni się kompania zaopatrywania przed czolgami nieprzyjacielskimi... jak pluton transportowy może urządzić zasadzkę... na batalion zmotoryzowanej piechoty itd. Ci ze służb — że lufa ma dwa końce, że do natarcia idzie się w tyralierze, że PIAT — to taka broń, którą ładuje się od przodu i wiele innych podobnych mądrości. Wszyscy nauczyli się wypełniania Message Form'u, zgodnie z „literą i duchem” przepisów, znają na pamięć w przód, wstecz i na wrywki bieg zaopatrywania, od dominium i kolonii począwszy, aż do własnego spożycia, znają

skład osobowy i etat służb i składnic wszelkiego typu. Znają technologię środków napędowych, tabele ładowności aków, chemię, analizę wody. Magistri omnium scientiarum!

Element — różnoraki. Przeważnie ludzie w sile wieku, przed i po trzydziestce, z przeszłością bojową i turystyczną. Z broni i służb, z piechoty, artylerii, Z broni i... pierwszych linii kancelaryjczyków i... pierwszych linii kancelaryjczyków różnych szefostw. W sumie — towarzyszy do wypitki i do wybitki, choć w rzeczywistości są abstynentami i ludźmi zrównoważonymi. Przeważają prawnicy, złotouchi, definicjami i sentencjami kwiecistymi operujący nad podziw biegle. Dużo jest nauczycieli, tym opornie idzie nauka... Jest kilku z artystycznymi duszami, to znaczy takich, których od lat wielu naginają do wojska, naginają — bez skutku. Taki typ, mimo kuferka dyplomów, ani w ząb nie może pojąć, jak działa przerywacz w rkm'ie lub zasada poruszania się w terenie otwartym.

Ja sam dostałem się do Szkoły Podchorążych przez zemstę... Przez zwykłą ludzką zemstę. Słowo daję! Nie ponoszę za to najmniejszej winy. Po prostu wypchnął mnie szef, którego kiedyś opisałem w humoresce. Poznał siebie. I ja go poznałem, ale już w drodze do Szkoły. Sam bym się nie ruszył. Wojowałbym i pisał reportaże w swoim plutonie. A dobrze się pisało, szczególnie w karierze na skrzynce amunicyjnej! Bezsennie noce na placówkach, w dzień rozpoznania, ciągle na gąsienicach, bzykało i hucało wokoło, od czasu do czasu których ubył. Dobrze, złote czasy!

W Szkole potraktowali mnie jako dopust Boży. „Literat” — coś takiego, czego nie przewidywał żaden regulamin wojskowy. Bez żołnierskiej sylwetki, nie umiejący przepisowo chodzić, stać, padać, bić kopytami — niedojda. Za to dwa kuferki książek, maszyna do pisania, spóźniona reakcja i melancholijne zamyślenie. W porządnym oddziale zamykają takiego na dożywotnie ciężkie kancelaryjne roboty i na świat boży nie wypuszczają, żeby wstydu nie przynosił normalnym ludziom. Komendant oglądał mnie krytycznie od stóp do głów. — Humanista! Ja cię przepaszam! — kręcił głową i dzień cały chodził jak struty. Poem się udobruchał, ale przestał mnie widzieć. Po prostu stałem się dla niego przezroczysty.

Dobiega pięć miesięcy. Minęły jak z białą trzaską. Minęły na ćwiczeniach, wykładach, repetycjach (było ich bez liku!), egzaminach. Był to czas gorączkowej, uczciwej i uciążliwej pracy, po siedem godzin wykładów i pięć godzin nauki własnej dziennie, ani chwili dla siebie — niepodzielne oddanie się nauce. Między Bogiem a prawdą, był to jednak miły okres. Nie brakło w nim humoru. W wojsku im bardziej zwarte są nożyce, tym więcej śmiechu — reakcja działająca intelektualnie, rozprzestrzeniająca się z szybkością głosu. Było to jedyne antidotum na ciężkie chwile przed- i egzaminacyjne.

Za dni kilkanaście i nasz kurs skończy się. Nabozęństwo, defilada, promocja, wspólny obiad żołnierski. Potem rozpyli nas rozkaz po różnych oddziałach, zaprzęgnię do szarej, codziennej pracy. Rozstanie ze Szkołą i kolegami po kilku miesiącach współżycia, pomimo emocjonalnego momentu promocji, nie będzie rzeczą łatwą. Zżyło się po trosze bractwo, związało wspólnota podchorążackiego losu. Powrót z życia unormowanego rozkładem zajęć, do codziennego, mniej zracjonalizowanego życia oddziału nie odbędzie się bez wstrząsów.

Pójdziemy, gdzie wskażą. Mamy przecież posiać nowe myśli, nowe idee żołnierskiego czynu, czynnie pracować przy budowie postępu naszej Armii. Pod ciężarem wielokrotnionych obowiązków rozpoczniemy nowy rozdział naszego wojskowego życia, nowy okres wysiłków dla dobra Tej, której nakazy prowadzą nas po świecie, w zbrojnej, bolesnej tułaczce.

JAN KIELEWICZ

Kazimierz Wierzyński

## Na zajęcia Warszawy przez Rosjan



Generale, coś przezwat dla innych się Borem  
A dla nas — o Lwim Sercu pozostał legendą,  
Uwięziony, gdy dzisiaj w obozie wieczorem  
Usłyszysz o Warszawie, wspominać gdy będą,  
Że ostatni z niej Niemiec ucieka ścigany  
I że z gruzów pod śniegiem, jak z mogiły bratniej,  
Oknem jakiejś piwnicy lub chyłkiem z pod ściany  
Wyziera jeszcze Polak gdzieś — także ostatni —  
W ten wieczór, twej odwadze skradziony okrutnej  
I wydarty wolności, co zasła żałobą,  
Nie bądź, wodzu pobitych, samotny i smutny!  
Warszawa do apelu znów staje przed tobą.

Twój żołnierz suchym okiem dziś patrzy na czołgi,  
Gdy dudnią w naszym mieście, za pułkiem pułk wali,  
Kozacy i piechota z nad Donu, z nad Wołgi,  
Ze stepów znowu mrowiem nadciąga Moskali —  
I jeśli drgnie mu ostra, kamienna żrenica,  
To wtedy, gdy przez miasto, przez grób naszej matki,  
Wcisnięty w obcym tłumie się błądzi przemycą  
Jeniec z tajgi, strzęp mowy i strzęp polskiej czapki.

Twój żołnierz jest przy tobie i widzi w ten wieczór  
Ciemne stulecia innych, minionych wieczorów,  
Jakby w kurzawie czasów na nowo dziś przeczuł  
Szturm na Pragę . . . . .  
A dla nas widmo rzezi, po której w stolicy  
Na prostą trumnę sosny zabrakło i deski  
I ludzkiej łzy dla żalu w kamiennej żrenicy.

Twój żołnierz wciąż pamięta i jak ma zapomnieć

Twój żołnierz stąd, od sierpnia i września, co nocy  
Widzi ten brzeg wiślany, co nazbyt daleko  
Leżał wtedy, by podać wam broń do pomocy,  
Jak brzeg innego świata, choć tylko za rzeką:  
Tam czekano, jak w łoży, aż wyjdą z podziemi  
Potomkowie Okrzei i spalą swe kości,  
By Polak zdobył wolność, nie marszałek Żukow,  
Lecz by padł, bo Kreml takiej zakazał wolności.

Generale, coś przezwat dla innych się Borem  
A dla nas — o Lwim Sercu pozostał legendą,  
Gdziekolwiek kto z nas w świecie dziś błądzi wieczorem  
Do twych żołnierzy wszyscy z powrotem przybędą,  
Do ścian lecących gruzem, do ruin, do miasta,  
By wśród rozbitych rynków, kościołów i łuków,  
Śród grobów, z których łuna nad światem wyrasta  
Szedł nie regiment ruski, nie marszałek Żukow,  
Lecz aby tam powstała, wierna do ostatka,  
I, jak duch niewidzialny, szła pokoleniami  
Miłość nasza raniona, wieczna nasza matka,  
A imię jej niech będzie wciąż pomiędzy nami.

17 stycznia 1945 r.



Pierwszy chiński konwój na granicy Chin



Chińskie czołgi patrolują wśród drogi burmańskiej



Wzniesiony przez Chińczyków pomnik Amerykaninowi, który poległ w obronie Chin



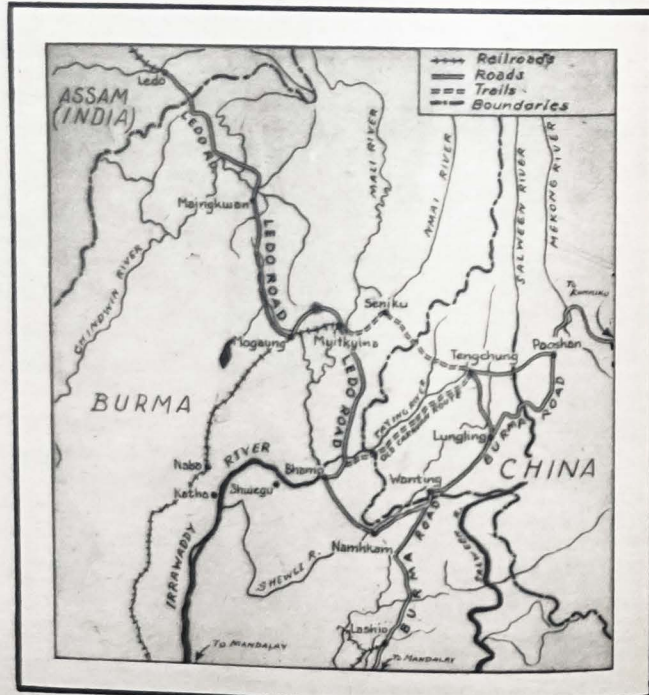
Ludność pozdrawia pierwszy konwój, który przebył przestrzeń 1044 mil (Ledo-Kunming) w 24 dniach



Fragment drogi burmańskiej



Konwój wiezie sprzęt i amunicję. Ładownia 105 mm haubic amerykańskiej



**Płynie  
BRON  
drogą  
burmańska**

Str. 1 — Senna w Apeninach, fot. Brit. Min. of Inform.  
Str. 2: fot. Brit. Min. of Inform.  
Str. 3: fot. inż. W. Ostrowski  
Str. 4 i 5: fot. Chruściel, Hryniewicz  
Str. 5 i 6: fot. F. Maliniak  
Str. 8 i 9: fot. Brit. Min. of Inform., U. S. Office of War Inform.  
Str. 10 i 11: Brit. Min. of Inform.  
Str. 12: fot. Jan Kielewicz  
Str. 14: fot. U. S. Office of War Inf.  
Str. 16 — Na pozycji artyleryjskiej, fot. Hryniewicz

Układ graficzny: **JERZY MEODNICKI**



Jeden z pięknych mostów drogi burmańskiej — na rzece Salween

# Przed progiem dalekiego domu



Pebnym wymazu jest to zdjęcie przedstawiające dzieci polskie w Nowej Zelandii, wpatrzone w spokojny, wiejski dom. Tysiące mil oddalone od swoich domów dzieci polskie chętnie odwiedzają farmatorów, aby przypatrzeć się z bliska gospodarstwu i spokojnemu życiu. Stare drzewa rosną przed domem, na podwórzu pełno drobiu. Dzieci przybiegły z obozu, aby przynajmniej poprzez płot popatrzeć na spokojny, wiejski dom.

W polskim obozie dzieci uczą się, piszą listy do ojców walczących na frontach i czekają na nowiny. Gościnnie jest Nowa Zelandia, ludzie dobrzy, kraj piękny — ale do Polski daleko...

W przedszkolu ↓

W obozowym szpitalu ↓



Polska rodzina przy posiłku w domku jedno-rodzinnym w obozie w Nowej Zelandii



Jeszcze na okręcie w drodze ku Nowej Zelandii





